ILUSTROWANY
GŁOS NARODU

z dnia 28. Czerwca 1902 r.

Kwiat paproci.

(Z nocy Ś-to Jańskiej).

Szumi ciemny bór wierzchami wyniosłych smereków i sosen. szumi konarami stuletnich dębów. drży liściem osiki, szemrze warkoczami brzozy płaczącej

Do stóp wysoko wyrosłych olbrzymów tuli się, niby dziatwa, brać drobna. Szerokolistna leszczyna kryje skrzętnie strzępiastą, zieloną osłoną okryte grona orzechów. Tarnina najeża swe kolce. Nad nią wychylają się gładkie, grube pręty szakłaku, głogi oplata dziki chmiel, a z pomiędzy tej splecionej gęstwy wychyla nieśmiało głowę brzezina, i pnie się hardo w górę młody a krzepki dębczak, jakby mówił: „Pójdę ja wysoko, nie dbam o was“.

Na polankach, w pełnym słonecznym blasku kąpie się bujna ciemna zieleń młodego zagaju — i rośnie trawa gęsta, i wszelakiego ziela i kwiecia moc wielka. Żyzna ziemia rubieży, w potokach światła i ciepła skąpana, karmi hojnie dziatwę swoją, darząc ją niepospolitym wzrostem, siłą i krasą.

Na wyniosłych łodygach kołyszą się błękitne dzwonki tak wielkie, że jeden drobną dłoń dziewczęcia pokryć potrafi. Dzikie storczyki roznoszą woń upajającą. Naparstnica roztacza długie, pełne kwiatów kiście, kołyszą się główki margerity białe, zabłąkała się i dzika koniczyna, i esparceta, i groszek, i ostróżka — wszystkiego po trosze do leśnego bukietu.

Na wzgórkach czerwienią się gęsto jagody, w cieniu rosną bujne drobnolistne czernice, tylko siąść i rwać, trudzić się w zbieraniu nie trzeba.

I oto przeszedł wiatr, i cisza zaległa w ciemnym borze.

Tylko zawodzi zwrotkę swoją ziemba, zagwiżdże wilga, i przedrzeźniać się pocznie; krzyknie żołna, z furkotem przelatując z sosny na sosnę, świegocą pokrzywki, żałośnie zawabi grzywacz siwy i tęskno gruchają hen, na wysokim dębie turkawki.

Słońce zniża się ku zachodowi. Na szeroką drogę kładą się długie cienie drzew, cedząc przez szczeliny między liśćmi bledniejące smugi światła.

Z gęstwy leśnej płynie ożywczy chłód, powietrze przenika balsamiczny zapach igliwia, na trawach i kwieciu perlą się pierwsze drobne krople ożywczej rosy...

Na skraju leśnym z pszenicznego łanu ozwały się przepiórki. Zawtórował im derkacz, słynny krzykacz, ale to dopiero na próbę: on rozgada się na dobre po zachodzie słońca.

Bocian powędrował na łąki, z gruszy polnej dąży ku lasowi kraska błękitna, a swarliwe wrony łopocą skrzydłami, upatrując, gdzie będzie nocleg wygodny.

Na skręcie drogi polnej, wśród kołyszących się dwu sąsiednich pól pszenicy i żyta, widać zbliżających się jeźdźców.

Dwa wierzchowce obok siebie, trzeci koń opodal, paręset kroków z tyłu podąża. Zwrócili na gościniec szeroki.



KRÓL ANGIELSKI EDWARD VII.



KRÓLOWA ANGIELSKA ALEKSANDRA.

Gromadka wracających do sianożęci chłopców i dziewcząt zna ich doskonale.

— To panicz z sąsiedztwa, widać do domu z zagranicy przyjechał, a to panienka z naszego dworu. A ten trzeci, to stajenny Walek. Przygarbił się i cyluje śpicrózgą do Marynki.

— Koślawiec! Łyśniące cholewy naciągnął i myśli, że pan...

— Zkądeś takie płowe rajtuzy wydobył?

— Żeby wlazł na łąkę, toby stąpał jak bociek!

— Zesuniesz się z tyj kulbaki w tych fujarkach, bo ślizkie!

— Nie ostań się tak daleko za państwem, bo cię wilcy zjedzą...

— Stulić gęby, hołota, bo pan jedzie! — odcinał się Walek...

— Graf od galicjańskiej granicy...

— Owsiany placek!

— Górala!

— Węgier!

Zajęci ożywioną rozmową panicz i panienka, oddalili się znacznie. Panicz — chłopiec jak malowanie. Twarz ściągła, o bardzo regularnych rysach, duże ciemne oczy, wąs podkręcony w górę po zawadjacku. Szary kapelusz na głowie, granatowa kurtka ułańskim krojem. A prowadzi konia bez zarzutu.

Panienka... Poeta starej szkoły nazwałby ją: „Jak róża, jagoda!“ Czyżyki i dzwońce dnia dzisiejszego przyrównałyby ją do bezmiaru pragnień i bezkresów słodyczy, roztopionych w pożądań odmęcie i wszechmgłach praistnienia.

Panienka nie ma ani łabędziej szyi, ani oczu gazeli, ani jest smukłą jak lilja, ani białą jak marmur, ani subtelną jak fluid kosmiczny. Wszystko ma swoje.. ale wszystko ładne. Nawet jasno-popielaty kapelusz i takaż sama amazonka bardzo jej są do twarzy.

Gdyby kto spytał panicza, toby napewno wiedział, że panna jest szatynką, że oczy ma koloru morza, że uśmiech jej, to niebo, głos — chóry serafinów, zresztą, co tam gadać!.. Niemasz takiej drugiej i kwita!

Nie dziwimy się przeto, że rozmowa jest ożywioną.... Panicz powraca z dłuższej wycieczki za granicę, gdzie dla dopełnienia studjów naukowych kilka lat przebywał. Zwiedził Wiedeń, Berlin, Paryż, jest o czem opowiadać...

— A gdzież było najweselej i najlepiej? — pytała panienka.

— Wesoło może być wszędzie, kiedy ma się myśl swobodną, czas wolny i humor do zabawy. Wiedeń śliczne miasto, cudne okolice, wiele dzieł sztuki, mieszanina różnych typów i narodowości. Wiedeńczycy lud wesoły, ich życie płynie w takt walców Straussa i Waldteufla. Berlin, choć nad swoją mętną Spreją, wyrósł obecnie na jednego z europejskich olbrzymów, mniej dla każdego z nas sympatyczny. Ale zawsze, co Paryż... to Paryż! Paryż był i jest ogniskiem kultury wszechświatowej.

— A Paryżanki?

— Paryżanki? Jakby tu pani powiedzieć. Mówią wszyscy, że Francuska, to prawdziwa córa Ewy, że całą subtelność kobiecej natury zagarnęła na swoją własność, że potrafi być naraz aniołem i szatanem, szczęściem najwyższem i najsroższą męką ludzkiego rodu. Tyle zresztą

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 28. Czerwca 1902 r.

o tem napisano, tylu subtelnych badaczy analizowało i przeglądało pod mikroskopem tę dziwną naturę, że mój sąd jest sądem profana w sztuce badania serca i duszy Paryżanki. Że popowabne, że sprytne, inteligentne, no, nawet czarujące, zalotne i kokietki...

— Dokuczyły widać panu — przerwała, śmiejąc się, panna. — Proszę przyznać się... Ale podobały się bardzo? Ja sekretu nie zdradzę.

— Podobały się! Czasem człowiek ma tak myśl zajętą, że mu się nic nie podoba.

— Jakie prześliczne margerity i dzwonki! — zawołała panna.

Grzeczny towarzysz zeskoczył z konia natychmiast i począł zrywać kwiatki. Zebrał ich



ZMARŁY KRÓL SASKI ALBERT.

bukiet spory, obłożył kilku liśćmi paproci, i związawszy długą trawą, podał panience.

— Dziękuję! Prześliczne!.. Kto pana uczył układać bukiety?

— Własne natchnienie. Trzeba tylko dobierać kwiatki, niby słowa do treści, albo nuty do piosnki. Bo każdy kwiatek ma swoją mowę, ma jakieś wspomnienie lub legendę do niego przywiązaną. Fijołek posiada baśń o młodym królewiczu. Margerita, to kwiat wróżby. Listki jego powiadają: „tak“ lub „nie“. Dzwonki, to symbol stałości. Podobno ich kielichy posiadają dźwięk, który ciągle przypomina o ukochanym. Wiatr kołysze kwiatkiem, a kwiat dzwoni cicho... A ludowa baśń o kwiecie paproci... Pani zna to podanie?

Panna milczała. Jechali gęstym i wyniosłym lasem, droga szła obok głębokich jarów.

— W głuszy leśnej — mówił panicz — w puszczach, gdzie niedostępne mateczniki i uroczyska, w noc Świętojańską zakwita paproć. Kwiat jej świeci nieporównanym blaskiem. Pod nim w głębi ziemi spoczywają zaklęte skarby. Kto kwiat zdobędzie, stanie się ukrytych skarbów panem. Ale zdobyć kwiat, niełatwa sprawa. Strzegą go zazdrośnie piekielne moce...

Straszą potępieńce i upiory, uwodzą boginki, mylą drogę ogniki błędne, wiodąc na szlaki zdradne i zgubne. Ale kto posiada dość mocy, odwagi i wytrwania, i o godzinie oznaczonej w północ samą, na miejscu oznaczonem stanie, swoита czeka go nagroda. Kwiat trzeba unieść, nie oglądając się po za siebie. Inaczej zguba, wszystko przepadnie... Tak mniej więcej głosi baśń ludowa, poeta mówi inaczej...

Wjeżdżali na obszerną polanę. Las rzedniał, droga prowadziła ku łąkom, które kosić poczęto.

Słońce zaszło. Na niebie kładły się rumiane blaski, krawędzie ciemnych obłoków otoczył złocisty rąbek, białe pojedyncze chmurki stały się przejrzyste i świecące... Z nad rzeki wstawały sine mgły i szły cicho, rościelając srebrną szatę, niby gazę przejrzystą, nad łożem układającej się do snu ziemi.

A panicz mówił dalej drżącym nieco od wzruszenia głosem:

Zakwita w puszczach dziwny kwiat paproci,
Na jedną chwilę w tajemniczem cieniu,
Cały świat blaskiem czarodziejskim złoci,
Lecz można tylko dotknąć go — w marzeniu.
Młodość, co wierząc, sama cuda tworzy,
Umie go dojrzeć w cudowności lesie,
Żadne widziadło w biegu jej nie strwoży —
Pewnej, że skarb ten na sercu uniesie,
A choć nie uszczknie kwiecia ideału
Co pod jej ręką jako sen przepada,
Jednak ma chwilę ekstazy i szału,
W której jest pewną, że Niebo posiada.

— Czy prawdę mówi poeta? — zapytał panicz, pochylając się do panienki.

— O wielką prawdę...

— Są jeszcze dalsze strofy, równie prawdziwe, ale smutne.

— Panienka nic nie odrzekła, a panicz ciągnął dalej:

Gdy się dwa serca spotkają tęskniące,
Pełne nadziemskiej piękności i żalu,
Gdy objawienie miłości, jak słońce
Na ust spłonionych zabłyśnie koralu;
Gdy po raz pierwszy, drżące a wstydliwe
Te usta w jeden pocałunek spłyną;
Gdy przez nie dusze połączyć się chciwe,
Jako dwie fale w oceanie giną —
Natenczas w uczuć wezbranych powodzi,
W tej błyskawicy duchów idealnej,
Kwiat ów cudowny tajemniczo wschodzi
I w pocałunku kwitnie niewidzialny.
Tyle też jego trwania. Gdy z zachwytu
Zbudzona dusza chce go ująć w dłonie,
Zniknął bez śladu... tylko śród błękitu
Zostały po nim jakieś dziwne wonie.

Zorze ciemniały, szarzejąc, niby przypadające popiołem ognisko.

Na niebo wytoczył się krąg księżyca i poczęły mrugać nieśmiało pojawiające się pierwsze gwiazdy.

Z łąk ozwał się wieczorny koncert błotnego ptactwa. W powietrzu kiedyniekiedy świsnęły skrzydła zapóźnionej kaczki dzikiej, przeleciał cicho lelek szary, zataczał kręgi ciekawy gacek...

— Czy ten kwiat paproci znika bez śladu, gdy zbudzona dusza chce go ująć w dłonie? — zapytał panicz panny...

Panna była czegoś mocno zmieszana. W ręku obracała bukiet polny... Widać w zakłopotaniu odłamała liść paproci...

— Z takiego listka, jaki pani trzyma w ręku, mógłby i kwiat wykwitnąć, a na sercu unieść go można... Niech mi pani tę gałązkę daruje...

Musiała panienka poblednąć. Jednak ręka trochę drżąca podała gałązkę...

Panicz, jak ów bohater z sielanki młodości, do ust przycisnął gałązkę, ale z ręką razem...

— Mama musi być niespokojną, że nie wracamy tak długo — szepnęła panienka.

— Więc jedźmy uspokoić mamę!

Konie ruszyły szparko, a złożony na sercu liść paproci zakwitł, siejąc jasny blask w dwóch młodych duszach.

Nawet Walek, jakby przeczuwając o co chodzi, nie oglądał się za siebie...

RUDYARD KIEPLING.

RZĄDY SMITHA.

(Ciąg dalszy).

Polowanie na cud.

Marszruta równie nieokreślona, jak następująca, z natury rzeczy musi się skończyć niepowodzeniem: „Jest gdzieś kapłan, w Amritsar czy też w jego okolicy, który odciął sobie język przed kilku dniami, i mówią, że mu znów odrósł. Idźcie i zobaczcie!“ Amritsar jest miastem o mniej więcej stu pięćdziesięciu tysiącach ludności, tak dużem, że objeżdża się je na około tramwajem. Znaleść pojedynczego człowieka w tym tłumie nie było łatwo; gdyż odrośnięty język nie mógł się żadną miarą różnić od sobie podobnych. Gdyby człowiek ów był pozostał bez języka, to obserwacja usług przechodniów mogłaby służyć za pewnego rodzaju przewodnika. Jednakowoż niemego czy ujęzyczonego znało całe Amritsar. Mały chłopak z kasty Parsów (czcicieli ognia), który pędził wzdłuż kawiarni, udzielił dziwnej informacji, że „kapłan bez języka znajduje się gdzieś wogóle w mieście czy też gdzieindziej“, i zataczając rękoma kręgi, okazywał bezmiar swoich wiadomości. Pewien uczony — zapewne pochodził z kasty Arya-Samaj, usłyszał też o tym „Sadhu“, i chwyciwszy za pióro, ogłosił go szalbierzem, „złym człowiekiem“ i „kłamliwym żebrakiem“. Wpadł w taką wściekłość i tak gwałtownie wymachiwał piórem, że jego słuchacz zemknął do „ticca-gharri“ (dorożka), gdzie pobudzony został przez jakieś licho przewrotności, do udawania skrajnej nieznajomości języka, aby oszukać woźnicę. Wskutek tego powtórzył dwukrotnie z emfazą „Sadhu?“ Woźnica, odparł „Jehan“, „nicpoń Durbar Sahib!“ Wówczas pasażer wyciągnął język, a łuski spadły z oczu woźnicy. „Bahut accha“, rzekł, i nie mówiąc nic więcej, skierował na puste obszary otaczające fort Gowindghar. Słowo Sahiba nie naprowadziło go na żaden domysł, ale zrozumiał jego gest; po chwili zawrócił wóz z drogi na równinę.

W pobliżu lahorskiej szkoły weterynarskiej, stoi chłodny budynek z cegły, ocieniony drzewami klasztor, zawierający groby pobożnych założycieli, upiększony ścieżkami, tarasami i krętemi drożynami, który znany jest pod nazwą Chadżu Bhagat Chubara. Miejsce to nawiedzone jest przez ducha pokoju, pełne kapłanów w łososiowego koloru szatach i przesiąkłe wielkim odorem świętości. Woźnica z Amritsar zatrzymał się przed „chubarą“, dwa razy tak wielką jak lahorska — zapewniając swego pasażera, że tu a nie gdzieindziej musi się znajdować „Sadhu“ z cudownym językiem.

Zaprawdę, całe otoczenie miało wyłącznie na celu upiększenie życia świątobliwym mężom Wschodu. Ponad wierzchołkami drzew przewiewał usypiający wietrzyk, a mały dziedziniec otoczony był otworami nakształt dziur w gołębniku, gdzie można się było wysypiać; były tam piękne mury i ogrodzenia i małe wzgórki ulepione z gliny na których rozpalono ogień do gotowania strawy, i rozliczne studnie. Było tam ze dwudziestu kapłanów, którzy wyłaniali się nagle ze wszystkich stron, schodzili z balkonów lub zrywali się ze swych legowisk, gdy się ktoś zjawił, dopytując się o „Sadhu“. Byli to piękni kapłani, zręczni, dobrze odżywieni, o pełnych policzkach, niepoplamieni popiołem ani kurkumą, i wyglądali wspaniale. Starsi nucili jakieś pieśni do wiewiórek lub tumanów kurzu, które porywał lekki wiatr i kręcił na równinie. Byli oni leniwi — strasznie leniwi. Młodsi kapłani objaśnili, że „Sadhu“ z językiem udał się do innej „chubary“, położonej o parę mil dalej, i obecnie tam się właśnie znajdował odwiedzany i czczony przez całe rzesze wielbicieli. Nie podali jednakowoż dokładnie miejsca, w którem miał się znajdować, lecz wskazali dość niepewnie w stronę Jandiali. Woźnica jednak odpowiedział, że zna to miejsce i zaczął się spiesznie przygotowywać do drogi. Kapłani zwracali uprzejmie uwagę, że dzień gorący, i że lepiej odpocząć chwilę przed odjazdem. Spoczynek był pożądany, i Anglik siedząc w cieniu bramy na dziedzińcu, stwierdził w przeciągu kilku minut co było przyczyną, że tu i ówdzie ludzie jego rasy nagle oszalawszy, zwracają się do mieszkańców tego kraju, i stają się jego kapłanami, jak to uczynił w okolicy Bombaju ów człowiek, który żył przez jakiś czas z fakirem na szczycie Jakko. Cudowna bezczynność — niesłychanie rozleniwiające własności tego miejsca; cisza — gdy kapłani kładli się spać jeden przy drugim; lenistwo jednego z młodych ludzi, który się położył na brzuchu w gorącym pyle i nucił pod nosem; gorące powiewy wiatru od strony doliny i odurzająca woń pieczonego „ghi“ i kadzidła, pogrążały umysł i członki w rozkosznem omdleniu, tak, że przez kilka chwil zdawało się, iż życie mogło być dobrą rzeczą dla kogoś, kto mógł się tak wysypiać i wygrzewać, i palić nargile od wschodu słońca aż do zmierzchu — tuczne zwierzę wśród tucznej trzody.

Polowanie rozpoczęło się na nowo, a „gharri“ potoczyła się mniej więcej w stronę Jandiali. Omijała ona zupełnie główne drogi, aż dopóki Amritsar nie znikło z horyzontu, a dorożka przybyła do nowej „chubary“ jeszcze bardziej spokojnej i odosobnionej jak pierwsza, i ocienionej



TERAŹNIEJSZY KRÓL SASKI JERZY.

całym szeregiem drzew. Z pod nóg koni wzbił się tuman kurzu, a gdy osiadł ujrzeli przed sobą pięknego młodzieńca, z głową podobną tej, jaką artyści kładą na ramiona Beliala. — Była to głowa szatańsko piękna i wprawiła w przerażenie płoszące się konie. Belial nie wiedział nic o „Sadhu“, który odciął sobie język. Spojrzał szyderczo na woźnicę, na pasażera i usiadł w pyle zanosząc się od śmiechu i wskazując na niebo i ziemię. Dla krajowca śmiać się głośno, bez opamiętania, publicznie i w samo południe, jest rzeczą straszną i mrożącą krew w żyłach. Nawet widok srebrnej monety nie zrobił wrażenia na Belialu. Nozdrza mu się rozdęły, wydął wargi i zanosił się znów od śmiechu. Po-

nieważ zdawało się, że nikogo nie było więcej w „chubarze“, wóz potoczył się dalej, ścigany śmiechem pięknego młodzieńca tarzającego się w pyle. Na drodze napadli na jakiegoś wędrownego kapłana, który jednak dość długo odmawiał wszelkich informacyj o „Sadhu“. Daremnie tłómaczył mu Anglik, że wierzy w cuda, że chce złożyć ofiarę z rupij dla „Sadhu“; że uważa „Sadhu“ za jednego z ludzi, idących na czele tego stulecia, i chce go uczynić nieśmiertelnym w przeciągu najbliższych dwunastu godzin. Kapłan był nieubłagany. Wreszcie gdy mu Anglik przemocą wcisnął zapłatę — przyznał, że „Sadhu“ musi się gdzieś rzeczywiście znajdować, i że zapewne teraz ma kazanie w Złotej świątyni. Wóz przybył wreszcie do Złotej świątyni, gdzie ujrzano całą radę ministrów i wiecznie wędrujące kobiety z plemienia Sikh naokoło ołtarza. Lecz nie było tam „Sadhu“. Pewien stary „Nihang“, siwy i sceptyk — ponieważ przebywał już około trzydziestu lat w tym kościele — siedział na schodach prowadzących do zbiornika wody i pluskał nogami w wodzie. „O Sahibie, przemówił słodko, cóż ty wspólnego możesz mieć z cudownym „Sadhu“? Nie jesteś przecież „Poliswalą“. „I; O Sahibie, co wspólnego może mieć „Sadhu“ z tobą?“ Anglik opowiadał mu z zapałem — gdyż bezowocna jazda w samo południe w październiku podziałała mu na humor — o swych awanturach w rozmaitych „chubarach“, nie wyłączając spotkania z Pięknym Młodzieńcem w Pyle. „Nihang“ uśmiechnął się złośliwie: „Bez wątpienia Sahibie, ludzie ci kłamali przed tobą. Nie chcieli abyś zobaczył „Sadhu“, a „Sadhu“ nie życzył sobie pewnie widzieć ciebie. Sprawa ta jest dobrą dla nas pospolitego ludu, a nie dla Sahibów. Cześć dla bogów zwiększa się coraz bardziej, lecz wy nie oddajecie czci bogom“. To rzekłszy zaczął się poważnie rozbierać i wlazł do wody.

Wtedy Anglik zrozumiał, że został nikczemnie oszukany przez woźnicę, i przez wszystkich kapłanów z pierwszej „chubary“ i przez wędrownego kapłana przy drugiej „chubarze“ i że jedynie współczującą osobą był Piękny Młodzieniec w Pyle, a ten był szalony.

To zmartwiło Anglika, tak dalece że wyjechał. Jeśli „Sadhu'sowie“ odcinają sobie języki i jeśli wielcy bogowie przywracają im je, to pobożni powinni mieć na tyle przyzwoitości aby się poddać interwiewowi.

Z Akademii Umiejętności.

Dnia 28 maja b. r. odbyło się posiedzenie Komisji do badania historji sztuki w Polsce, pod przewodnictwem prof. Dra M. Sokołowskiego.

P. Tomkowicz odczytał drugą część pracy: „O muzykach i fabrykantach instrumentów muzycznych w Krakowie“.

Referent zaznaczył w dalszym ciągu, że w latach 1600—1650 spotykamy w Krakowie cały szereg muzyków, bądź to o nazwach holenderskich jak: Van Hoven, Van Emden, lub włoskich — Ciampiemu nie znanych — jak: della Brace, Gilli, Pagani, Rungerius, bądź to o nazwiskach pochodzących z tłómaczenia jak ów przybyły do Polski Stefan Baumann, który przezwał się Budownickim.

W służbie dworu królewskiego pozostają muzycy: Asprili Pacelli, Lilli, na dworze Dymitra Samozwańca obowiązki organisty pełni Gabrjel Borcz. Za przykładem dworu wielcy panowie utrzymywali również muzyków nadwornych: do nich n. p. należał Rafałowic, muzyk księcia Zbaraskiego, kasztelana krakowskiego. O fabrykach instrumentów muzycznych w Krakowie mieliśmy bardzo szczupłe wiadomości. Grabowski i Kołaczkowski wspominają o kilku; z zapisków zaś archiwalnych krakowskich, z których czerpał referent, dowiadujemy się o całym ich szeregu.



ULICA W ST. PIERRE.

Z kolei przedłożył p. Emanuel Świeykowski trzy referaty.

Pierwszy dotyczył figurynek porcelanowych, znajdujących się w zbiorach hr. L. Dębickiego w Krakowie. Przedstawiają one szlachciców polskich z połowy XVII. w. w powłóczystych kontuszach. Na podstawie marek fabrycznych i analizy stylistycznej wykazał referent, że pochodzą one z fabryki królewskiej w Sèvres z lat 1753 54. Monogram (AB) artysty umieszczony obok marki, przypisuje referent modelatorowi Asselin.

W drugim referacie przedstawił p. Świeykowski sprawozdanie z wycieczki do Rzeszowa oraz zdjęcia: grobowców kościoła farnego Rzeszowskiego z końca XVII. w., arki do przechowania rodałów bożnicy nowomiejskiej, wreszcie sklepienia kościoła popijarskiego z pierwszej połowy XVII w. Sklepienia te zdobią wspaniałe sztukaterje przypominające dekorację kościoła na Bielanach pod Krakowem i kościoła św. Piotra w Krakowie. Następnie przedstawił zdjęcie jednego z kawalierów Vaubanowskich zamku rzeszowskiego z ciosową strażnicą i wieżą zamkową w głębi. Wreszcie opisał rezydencję letnią, „palais d' été“, znajdującą się obok zamku, objaśniając ją całym szeregiem fotografij wielkich rozmiarów. Pałacyk ten pochodzi z czasów Jerzego Ignacego Lubomirskiego († 1775) i jego żony Joanny baronównej de Stein. Odznacza się do obecnej chwili piękną dekoracją rzeźbioną, w stylu późnego barokku i wykonany w znacznej części w drzewie dębowem.

W trzecim referacie złożył referent sprawozdanie z wycieczki do Oświęcimia i opisał ruiny tamtejszego kościoła podominikańskiego z początku XIV. w. oraz ich obecną restaurację, ilustrując swój wykład czterema zdjęciami fotograficznymi.

Zrekonstruowane już prezbiterjum kościoła odznacza się sklepieniem sześciodzielnem i profilami krągłymi przechodzącymi w gruszkowe. Nawa jeszcze nie odrestaurowana przedstawia wyraźne ślady budowy hallowej, o której przywrócenie stara się grono konserwatorów, pomimo odmiennych planów restauracji, wykonanych przez prof. Ceradini z Turynu w duchu gotyku lombardzkiego nie odpowiadającego tej polskiej budowie z początku XIV. w.

P. Odrzywolski zaznaczył, że presbiterjum kościoła w Oświęcimiu o sześciodzielnem sklepieniu wykazuje wielkie podobieństwo z presbiterjum kościoła OO. Dominikanów w Krakowie.

Przewodniczący przedłożył wreszcie nadesłane przez p. A. Janowskiego z Warszawy fotografje z snycerskich rzeźb jednego z kościołów w Sieradzu, a mianowicie: „Św. Anny Samotrzeciej“, oraz ołtarza przedstawiającego „Zdjęcie z Krzyża“ z predellą wyobrażającą: Chrystusa w grobie.

Dzieła i działania Bismarcka.

Z książki Koźmiana wydanej pod powyższym tytułem, przytaczamy kilka ustępów odnoszących się do stosunków w Wielkopolsce w epoce pierwszych walk germanizacyjnych pomiędzy 1860 — a 70 rokiem.

* * *

Żywioł polski w W. Księstwie na trzy oddziały podzielić można było: chłopi, dawna szlachta a dzisiejsi większi posiadacze, nareszcie mieszczaństwo. W ogóle polskość i Polska głównie jeszcze czuć się dawały w 1869 r. na wsi, stanowiły wprawdzie wyjątek niektóre kolonie niemieckie i liczni już więksi właściciele niemieccy. Jednak to pewne, że jeżeli miasta gdzie ludność niemiecka prawie wszędzie była przeważającą, a cywilizacja niemiecka górującą, robiły, szczególnie na pierwszy rzut oka, wrażenie miast niemieckich, to przeciwnie wsie zachowały niezaprzeczenie znamiona polskich wsi i słowiańskiej sielskości. Przyczynił się do tego głównie lud wiejski, który wszędzie i bez wyjątku — pomimo służby wojskowej i ciągłego zetknięcia się z germanizmem — pozostał tak obyczajem jak mową a nawet uczuciem polskim, a był przeważnie zamożnym. Nie powiem, żeby w ogóle chłopi byli i tu patrjotami, lecz byli niezaprzeczenie polskimi, jest to ocień a raczej ważna różnica, na którą nigdy i nigdzie u nas dość nie zwracano uwagi, skąd powstały wielkie złudzenia, wielkie błędy i straszne klęski. Chłop nie politykował, ale nie dawał się wynaradawiać, służył w wojsku, płacił podatek, ale nie przestawał i nigdy nie przestanie być polskim chłopem, — aczkolwiek jest pruskim poddanym. Rząd załatwiając spiesznie i porządnie sprawę włościańską, usunął wszelki powód do sporów społecznych, które tu nigdy też nie ukazały się. — Lud więc wiejski nie mając żadnego powodu nienawiści do warstwy stanowiącej inteligencję wiejską, a pozostawszy polskim, nietylko nie mógł stracić zaufania do tej warstwy, która jest także polską, ale przeciwnie musiał



MARTYNICZANKA.

do niej największe zachować zaufanie, czego nieustające daje dowody przy wyborach. Tu więc dawny stosunek poddańczy zamienił się w stosunek społecznego zaufania i to jest niezaprzeczenie jedną z głównych przyczyn trwania od tak dawna nierównej walki polonizmu z germanizmem. Chłop we wszystkiem co się odnosi do życia codziennego, do pojęć i potrzeb tego życia, jest na wskroś polskim, lecz umysł jego nie wznosi się do wyższych pojęć i tworów politycznych; w swoim zakresie, w swojej biernej a często nieświadomej celów walce z niemczyzną, nie stawia on oporu państwu pruskiemu lecz germanizmowi. „Sprzedałeś nas Wielmożny Pan Niemcowi“, mówią z żałością chłopi żegnając się z właścicielem polskim, zmuszonym oddać majątek w ręce niemieckie, a w tych słowach tkwi określenie chłopskiego polskiego uczucia i chłopskiej polskiej polityki. To uczucie, ta polityka niezdolne zapewne stworzyć państwa polskiego, lecz nadzwyczajnie silne i wystarczające, aby wieś polską ochronić od zniemczenia. I w samej rzeczy, chłop jest to żywioł, który nigdy wynarodowić się nie da. Przypatrując się gospodarstwu rządu pruskiego i narodu niemieckiego w W. Księstwie łatwo odgadnąć, że jeżeli nadzwyczajne wypadki nie pokrzyżują ich planów, to przecież w końcu pozostanie tam chłop polski, jak pozostał na Szląsku. Ta polskość chłopa jest, jakby siłą przyrody, podobną do żywiołów w niej, do brzegów, które stanowią granicę morza, lub do wody, która gasi ogień. Lecz dla tego właśnie stanowisko chłopa jest tu biernem. Jest to rzecz, którą stwierdzić wypada, lecz nad którą nie ma się co długo rozwodzić.

Dwa inne polskie żywioły, szlachecki i miejski, odznaczały się przeciwnie czynną walką, poczuciem tego co robiły i celów, do których zmierzały, a razem wzięte stanowiły prawdziwy zastęp patrjotyczny polski w W. Księstwie. Jak wszędzie tak i tu smutnie odbiły się wypadki 1863 roku. Upadek sprawy polskiej, odsunięcie jej z zakresu polityki dnia, musiało nader niekorzystnie i przytłumiająco wpłynąć na stosunki. W. Księstwo walczące z germanizmem jak owa przednia straż przedłużająca opór w nadziei odsieczy, widząc naraz nadzieję tej odsieczy oddaloną, nie mogło jak tylko upaść nieco na duchu. Rola jego polityczna, rola europejska, w której występowało tak świetnie na sejmie pruskim, naraz ustała, pozostała tylko walka codzienna, przykra i arcytrudna, bez odgłosu. Taka walka, to zadanie jednostek. Owa więc falanga patrjotów poznańskich, mająca jak wiadomo zawsze na czele przewódcę, prawie się rozbiła, bo brakło sprężyny, która ją do ciągłego popychała czynu. Wprawdzie wybory pozostały jeszcze polem zapasów a koło polskie tak na sejmie pruskim jak północno-niemieckim było uosobieniem życia i kierunku politycznego tej prowincji; lecz to życie już nie tak silnie pulsowało, kierunek ten stracił wiele z swej dawnej doniosłości. Przy zmienionych okolicznościach, szlachta nie zmieniwszy się w swoich uczuciach, coraz jednak mniej trudniła się polityką, mieszczaństwo coraz więcej; chęć dobrobytu opanowała pierwszą, ambicja drugie. Tak szlachta jak i mieszczanie pozostali przedewszystkiem Polakami, a jeżeli w w sprawach politycznych te dwie warstwy różniły się w zdaniach, to w narodowej na jednem stawały stanowisku, i tak jak szlachta po wsiach tak mieszczanie po miastach coraz więcej parci byli przez żywioł niemiecki i na wyścigi iść

musieli z potężnem współzawodnictwem niemieckiem; lecz jeżeli szlachcic mógł się jeszcze w tej walce opierać na chłopie, to kupiec, mieszczanin, z wyjątkiem Chwaliszewa w Poznaniu, nie opierał się na nikim i był coraz więcej odosobniony i sam.

Jeżeli zastęp patrjotyczny w W. Ksiestwie w swoich dalekich celach a raczej nadziejach był zgodny, jeżeli w codziennej walce przeciw nieprzyjacielowi stał w ścieśnionym szeregu, to jednak były odcienia, prawie stronnictwa w jego łonie. Przed innymi byli jak wszędzie u nas ludzie, rozsądni umiarkowani, trzeźwo widzący, którzy rachując się z trudnościami i położeniem, nie łudząc się, nie tracili przecież nadziei, a w postępowaniu swojem kierowali się umiarkowaniem. Mówię tu o stronnictwie rozsądnem, które składało się po większej części z większych właścicieli ziemskich; lecz i w niem były dwa odcienia, pierwszy najwybitniejszy — nazwany przez przeciwników klerykalno-wstecznym — był rzeczywiście stronnictwem katolickiem. Jest to niezwyklem zjawiskiem, że w tej prowincji polskiej powstało prawdziwe — jak we Francji lub Belgii — stronnictwo katolickie. Stworzyła je zapobiegliwość kilku znakomitych ludzi; pierwszym jego zawiązkiem była redakcja i kółko niewychodzącego dziś już Przeglądu Poznańskiego powstałe pod przewództwem braci Koźmianów, Stanisława i księdza Jana, męża obszernej wiedzy, wielkiego umysłu i rzadkiej w Polsce energii. Ożywiła to stronnictwo myśl narodowa potrzeby walki, z schizmą i protestantyzmem, utrzymywało przy życiu pewne współzawodnictwo, z drugim odcieniem stronnictwa umiarkowanego, obojętniejszym w rzeczach religii i pociski stronnictwa skrajnego. Widomym przewódcą tego stronnictwa, przewódcą natus, był ks. arcybiskup Halka Ledóchowski. Mieściło ono w sobie wiele prawdziwych znakomitości, odznaczało się zacnością, pewną, żeby się tak wyrazić, wytwornością i wysokiem wykształceniem; główny jego zastęp stanowiły jednak kobiety. Stronnictwo to szczelnie w sobie zamknięte, ożywione było siłą przekonania pierwszych chrześcijan i odznaczało się ich wiarą i dobrodusznością a miało niektóre słabostki legitymistów francuskich. Na wskróś zacne i polskie, w sprawach politycznych widziało najczęściej jasno i zdrowo, jednak nie tyle po europejsku jak po rzymsku; na wszystko zapatrywało się przez pryzmat rzymskiej kurji i politykę sądziło odnośnie do władzy świeckiej papieża; ubolewało nad upadkiem bogobojnej Izabelli hiszpańskiej, a od chwili sankcjonowania ustaw konfesyjnych odwracało się ze zgrozą od cesarza austrjackiego. Pod względem narodowym znalazło się i uczuło się w trudnem położeniu, z powodu wybitnie rządowego stanowiska zajętego przez widomego swego naczelnika księdza arcybiskupa Halkę Ledóchowskiego, którego postępowania nie pochwalało, lecz potępiać nie mogło. Stronnictwo to doszło do przekonania, że łatwiej będzie w W. Księstwie ocalić katolicyzm jak polskość a dopiero przez katolicyzm polskość, aczkolwiek gotowe było zawsze do największych poświęceń patrjotycznych, równie jak najzapaleńsze dla Polski w granicach 1772 r. Praktycznie, stronnictwo to bardzo wiele robiło dla miłosierdzia, dla oświaty, dla wpływu na lud wiejski, dla utrzymania zacności i godności charakteru polskiego; było ono z wielu względów użytecznem w Polsce wyjątkiem.

Drugi odcień stronnictwa umiarkowanego tem głównie się odznaczał, iż podzielając z pierwszym wstręt do polityki krewkiej, nie był zagorzałym ani w sprawach religijnych, ani w politycznych; nic w ogóle go nie odznaczało, nie miało w sobie nic wybitnego, było bez nienawiści i namiętności, czuło tylko instynktowy wstręt do wszelkiego rodzaju skrajności; odcień ten polski z istoty i zacności, z krwi i kości, coraz więcej poczynał chorować na obojętność, a obojętność i bezbarwność były jego przyszłością. Nie wywołał on żadnej katastrofy, nie sprowadził żadnej klęski, lecz nie zapobieże, nie przeszkodzi żadnej, gotów w razie danym poświęcić się jak zawsze zupełnie, dla sprawy narodowej.

Jak wszędzie u nas tak i tu było stronnictwo zapalno-patrjotyczne, stanowisko jego nader teraz skromne i ograniczone, było głównie deklamacyjnem. Stronnictwo zapalne składało się przeważnie z mieszczaństwa, z ludzi piszących, z literatów, z niezadowolonych; krótkowidzące a daleko nadziejami sięgające, ze wstrętem stosowało się z konieczności do położenia obecnego, wzdychając wciąż do lepszej przyszłości, którą wyobrażało sobie łatwiejszą i bliższą niż była w istocie. Znajdowało przyjemność w podjazdowej, nieraz zbyt cierpkiej i nie zawsze na czasie namiętnej walce tak z rządem, jak z żywiołem niemieckim, to znów w zjadliwych wystąpieniach przeciw umiarkowanym i ultramontanom. Tak we własnych jak i innych polskich prowincji sprawach, najskrajniejsze środki były dla niego najlepszymi; kompromisów nie pojmowało, po części dla tego, że bało się zatracić lub naruszyć zasady, a po części dla tego, że zdaniem wielu ten częstokroć najlepszym jest Polakiem, kto w każdej chwili i na chwilę nie zważając, gotów iść najdalej. Stronnictwo to najczynniejsze, z natury demonstracyjne, najliczniejsze, najgłośniej dawało znaki życia w publicystyce; działało ono nieco w próżni, nie było licznem, lecz z istoty swej ruchliwem. Zapominało zbyt często o rzeczywistym stanie rzeczy tak w W. Księstwie jak w innych krajach polskich i było straconą placówką zasady, Polski w granicach 1772 r. Ze składu swego usposobione do współzawodnictwa kastowego, nie poruszało przez patrjotyzm spraw społecznych, jednak kryło i żywiło je w swem łonie, a zdradzało się od czasu do czasu żółciowymi wybuchami.

Te trzy odcienia zgodne w sprawie narodowej, różniące się w innych, łączyły się razem w oporze przeciw germanizmowi, walczyły jednak nieraz z sobą tak w szczegółach miejscowych, jak w Kole polskiem w Berlinie.

Żywioł niemiecki kierowany i popierany przez rząd, stanowił wraz z żydowskim jednolity względem polskości obóz. Tak nazwanych polskich żydów, których napotykamy we wszystkich innych krajach polskich, tu prawie całkiem nie było, byli tylko żydzi niemieccy lub zniemczeni. I w obozie niemieckim były odcienia, czego świadectwem aż trzy dzienniki niemieckie wychodzące w Poznaniu, lecz w stosunkach do żywiołu polskiego panowała w nim najzupełniejsza zgoda, wyjątków nie było, były tylko zjawiska, jak Dr. Metzig. W ogóle było w tym obozie silne przekonanie, że W. Księstwo stało się już ziemią niemiecką, a co gorsza poczucie własnej siły i wyższości nad żywiołem polskim, pewność, że ten nie zdoła się już obronić ani potrafi wyprzeć niemieckiego.

Było jednak coś, co tę pewność niepokoiło, oto jak już nadmieniłem, obawa gwałtownych zmian, a ztąd wielka cierpkość, nawet nienawiść do wszystkiego, co Polskę przypominało lub obudzało w Polakach nadzieję. W codziennem jednak życiu Niemcy nie zapatrywali się już na W. Księstwo jak na ziemię polską, lecz jak na prowincję niemiecką, w której zamieszkuje ludność polska. W stosunkach z tą ludnością byli oni zimni i ostrożni; skarżyli się niby, że Polacy zdala się od nich trzymają, lecz sami nie umieli zrobić pierwszego kroku, aby jakiekolwiek, choćby towarzyskie, sprowadzić zbliżenie; trzymanie się na uboczu Polaków korciło ich, a przecież niezawodnie nie umieliby z nimi żyć; sprawa polityczna stała jak upiór między dwoma społeczeństwami. Trudno bardzo, aby kiedykolwiek połączyły się one mechanicznie.

Były już liczne kolonie niemieckie w różnych częściach W. Księstwa, mianowicie w okolicy Leszna; rząd pruski o ile mógł używał tego środka tak wielce przez Machiavella zalecanego. Byli już liczni właściciele ziemscy niemieccy, wielkich majątków w rękach niemieckich mało, lecz bardzo dużo średnich. Zwykle Niemiec przybyły do W. Księstwa zaczynał od małego, stopniowo pracą i oszczędnością zbogacał się i dokupywał ziemi, lub ją z korzyścią innemu sprzedawał Niemcowi. W miastach nareszcie żywioł niemiecki przeważał i znaleść go już można było we wszystkich gałęziach przemysłu, handlu i rękodzielnictwa. Przyniósł on do W. Księstwa wszystkie swoje zalety, które jeszcze stają się wybitniejszemi i potężniejszemi wobec naszych wad narodowych, rozwijał je zaś z tą energią, którą każda walka nadaje. Oszczędność, ład, akuratność, wytrwała praca, oto są główne zalety Niemca, któremi on tu zwyciężał wszelkie stawiane mu przeszkody i początkową nieznajomość stosunków miejscowych. Dodać do tego wypada, niezaprzeczoną, rzeczywistą opiekę i ciągłą pomoc rządu a dziwić się nie można, nietylko, że żywioł niemiecki wkorzeniał się tu coraz silniej, ale nawet, że wypierał polski.

Jeden na pozór drobny szczegół, uderzał oko ile razy spotykało ono w Poznaniu razem Niemców i Polaków w chwilach wypoczynku i rozrywek, w publicznych miejscach; oto z pewnością, kiedy Niemiec wydawał pięć sylberów, jednocześnie Polak wydawał talara, a podczas gdy Niemiec pił piwo, Polak pił szampana. Można z tego wziąć miarę porównawczą całego niemal życia dwóch ludności, i zaiste dziwić się nie należy, że w tych warunkach Polacy nie mogli wytrzymać współzawodnictwa z Niemcami; przyczyny zaś szukać wypada w charakterze gospodarczym dwóch narodów. W ogóle złe w tem leży, że Polacy mają w W. Księstwie do czynienia nie tylko z potężnym przeciwnikiem, ale, że walka toczy się między dwoma charakterami narodowymi, z których jeden ma wszystkie zalety potrzebne do zapewnienia i zabezpieczenia zdobyczy, drugi tylko te szlachetne popędy i uczucia, które służą do przedłużania choćby rozpaczliwej walki.

Najgłówniejszym jednak, najważniejszym czynnikiem był tu rząd. Od dawna powzięty cel wynarodowienia i zniemczenia W. Ksiestwa Poznańskiego przeprowadzał z ważnością, spokojem i wytrwałością. Pewny swojego, nie działał porywczo i konwulsyjnie, nie szamotał się, lecz systematycznie wykonywał z góry obmyślane dzieło. Miał on za sobą przewagę organizacji i politycznego rozumu. Sposoby, których używał są bardzo proste i dobrze obmyślane, opiekował się Niemcami, zachęcał ich do osiedlania się w W. Księstwie, a wszelkimi prawnymi czy nieprawnymi środkami wypierał stamtąd żywioł polski. Działał prawnie jak światły rząd, lecz był bezwzględnym i nieubłagalnym. Pomijam tu walkę z duchem powstańczym, walkę z wszelkimi prawdziwymi i wymyślonymi zamiarami oderwania od monarchii W. Księstwa, i mówię teraz tylko o systematycznem działaniu rządu przeciw żywiołowi polskiemu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nasze ilustracje. Nagła śmiertelna choroba króla Edwarda zwróciła uwagę Europy na tego monarchę, który właśnie wśród najświetniejszych uroczystości miał włożyć na skronie koronę swego świętego poprzednika Edwada wyznawcy. W chwili gdy spełniło się najgorętsze życzenie króla i pokój w Afryce został zawarty, gdy przedstawiciele wszystkich państw świata zjeżdżali do Londynu aby złożyć niejako hołd zwyciężającej Anglii, ręka opatrzności dotknęła ciężką chorobą monarchę, który bądź co bądź pozwolił na niesprawiedliwy zabór dwóch wolnych i szczęśliwych krajów. Przy łożu jego czuwa wierna i kochająca żona królowa Aleksandra córka króla duńskiego w swoim czasie jedna z najpiękniejszych kobiet Europy, a i dziś jeszcze pełna uroku i wdzięku.

Zmarły król Albert saski był potomkiem obu Augustów, którzy panowali w Polsce, nie żywił jednak żadnych sympatyj dla polskiego narodu, — a choć za młodszych lat walczył przeciwko Prusakom — pokonany, stał się ich najwierniejszym wasalem. Tron saski i nominalne rządy w Saksonji, obejmuje brat zmarłego Jerzy, podobnie jak on więcej jenerał pruski, niż samodzielny monarcha. Nowy król jest już także stary, i z pewnością nie zmieni nic w stosunkach swego państewka do niemieckiej Rzeszy. Dwór drezdeński będzie jak za życia króla Alberta, raczej rezydencją bogatego magnata, używającego spokojnie swych majętności i protegującego sztuki piękne, niż siedzibą samoistnego króla, prowadzącego własną politykę.

Obrazek przedstawiający Ulicę w St. Pierre po zniszczeniu tego miasta przez wybuch wulkanu, uprzytomni czytelnikom ogrom i natężenie tej strasznej katastrofy. W mieście pozostały tylko dymiące zwaliska, a wszystko jest pokryte grubą warstwą popiołu, tak żyznego, że wszędzie gdzie ostygł zaczynają się pokazywać pierwsze ślady roślinności. Kobiety z Martyniki słynne są z urody i ognistego temperamentu. Cesarzowa Józefina pierwsza żona Napoleona I. była Martyniczanką. Portrecik kreolki zamieszczony w dzisiejszym dodatku, daje pewne wyobrażenie o typie tych kobiet, czarnookich, czarnowłosych o delikatnej pięknej cerze-

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.